

wiadają drudzy i co pewnie naturalniejsza, w niedostatku czegoś lepszego, zapełnia często artykuły swe opisem różnych dziwactw i wyskoków oryginałów i wartogłów Europejskich, którzy je często tylko na to robią, aby się dostać do felietonu *Independance* i zyskać mniej więcej taką samą sławę, jaką zyskał Alcibiades gdy uciął psu ogon. Przepraszając was za ten występ i wracając do rzeczy, przyznaję tedy wprost, że w niedostatku czegoś lepszego, ale idąc mimo to za przykładem mego wielkiego wzoru z *Independance*, piszę wam i to między innymi, że od niejakiego czasu figuruje tu w oknie jednego z daguerrotypistów naszych piękna fotografia przedstawiająca szlachcica z zawieszonym wąsem i gęstą miną. Po lewej stronie jego obrał sobie stanowisko cichy i spokojny baran. Dla dopełnienia naszej powieści o fotografii dodać jeszcze winniśmy, że ją otacza zawsze liczna publiczność i że śmy nigdy nie wątpili, iż przedmiot znajdujący się po lewej stronie portretu jest rzeczywiście najstosowniejszym symbolem wydziału, któremu się oddaje znany powszechnie z pięknej owczarni p. Ignacy Lipki.

Sfera sztuk pięknych i widowisk, reprezentowana u nas ciągle jeszcze przedstawieniami opery niemieckiej p. Wallnera, a teraz zbogacona jeszcze przyjazdem jakiegoś pana *Bellachini*, dającego próby swęj sztuki wieczorami w sali Bazarowej. Pan *Bellachini*, mimo włoskiego *ini* ma być podobno żydem z naszego Mieszkowa, czém jednakże bynajmniej talentu jego jako kuglarza, i brzechomowcy uważać nie myślimy. Owszem przypisuje mu nawet tutejsza Gazeta niemiecka »łatwość, zręczność, gracyę i obfity zasób oryginalnej wynalazczości.« Wszakżeż nie mało przymiotów od jednego razu?

Alż czas zwrócić się od tych drobnostek choć w kilku słowach do rzeczy poważniejszych.

Między temi zamieściłbym wiadomość o uroczystém odsłonięciu pomnika Kopernikowego w Toruniu. Dr. Prowe, który przez kilka lat pracował nad przeprowadzeniem dowodu, że Kopernik koniecznie był Niemcem, bo przecież *physisch und moralisch* niepodobieństwem, aby Polak mógł być wielkim astronomem, i który nawet przeszłego roku do Upsali jeździł, gdzie nawiasowo powiedziawszy na poparcie swego domysłu nic nie znalazł, odczytał swoją biografię Kopernika; burmistrz toruński wystąpił z mową; ktoś z rajców podobnie; a wszyscy razem dowiedli, że nasz astronom był Niemcem. Między innymi występowały przy tej uroczystości cechy rzemieślników, a wśród rzeczniczków pokazał się rycerz w zbroi. Zbroja ta została zdobytą (r. 1454) przez jakiegoś walecznego rzeźnika, podczas szturmowania mieszczan toruńskich na zamek toruński, obsadzony krzyżakami. Czyżby już ta zbroja sama, nie powinna była przemówić za jego polskością?

Nadeszły nam z Lipska w przepyszném wydaniu *Zapiski archeologiczne* Ambrożego Grabowskiego. Dzieło to poświęcone sztuce i archeologii polskiej zawiera przy tytule piękny staloryt Krakowskiego zamku z XVI wieku, a przy końcu kilka tablic mieszczących różne wieże i baszty Krakowskie, podobnie z XVI lub XVII wieku.

Z dzieł historycznych a ważnych i zastępujących przy pierwszej lepszej sposobności na bliższy rozbiór, wyszła w Berlinie książka pod tytułem: *Geschichte der preussischen Historiographie von Düsburg bis Schütz, von Dr. M. Töppen*. Dzieło to rozbiegające krytycznie kroniki pruskie, poczynszy od połowy XIII wieku aż do roku 1599, w którym kronika Kaspra Schütza wyszła, zastępuje dwojako na uwagę naszą, raz że tyczy się prowincyi, która losy naszego kraju do końca dzieliła, dalej, że wyszła z pod pióra autora zamieszkałego w Poznaniu. Dr. M. Töppen jest bowiem professorem przy nowo utworzonej tutaj szkole realnej, i pierwszym Niemcem poznańskim oddającym się zawodowi literackiemu. Ależ prawda, jednak nie pierwszym, bo właściwie był nim sławny powieściopisarz niemiecki Hofman, który w Poznaniu za Prus Południowych był urzędnikiem i którego żona wcale nie dawno temu na tutejszém przedmieściu św. Marcina umarła.

KORRESPONDENCA GAZETY WARSZAWSKIEJ.

18 (30) października 1853 r.

Szanowny Redaktorze! twoi korespondenci, do których mam zaszczyt liczyć się, piszą o wszystkim co was i nas obchodzić może, nie piszą jednakże nigdy o stanowisku jakie powinni zająć względem siebie, gazety i ogółu czytelników; postanowiłem więc najprzód rzec słówko o tém.

Nigdzie może gdzie drukują się gazety, stanowisko korespondenta nie jest tak trudnem jak to u nas ma miejsce. Wszędzie z tym organem publicznym już są mniej więcej oznajomieni czytelnicy—i felietony, ta lekka i błyskotna gawęda o różnych rzeczach, przybrały dziś konieczny warunek podawania nam wiadomości ze sfery każdej gdzie je wziąć można. Bo czemuże właściwie jest felieton, czém są te wszystkie ulotne artykuły, które czytamy po naszych i zagranicznych pismach, jeśli nie nowiną, którą podać czytelnikom jest obowiązkiem gazety, powinnością jej korespondenta? U nas jednakże, na wielu punktach, albo czytelnicy źle pojmują korespondentów, albo korespondenci, nie rozumiejąc swojej roli, źle zapatrują się na ogół—i stąd to powstają od czasu do czasu owe protestacye z mnóstwem znaków zapytania i wykrzykników gdzie się bronią honory powiatów i podają szerokie rozprawy wpadające w ostateczność drugą.

Wiadomo że ani sława, ani opinia, nie wyrabia się u nas przez gazety i książki; że jedni tylko artyści i literaci są przedmiotem dyskusyi drukowanych, a i ci często ostrą krytykę przyjmują z wrazeniem równającym się apoplexii, nie pomnąc że ona nie jest czém innym jak powtórzeniem zdania, które tak czy owak i bez gazety musiało gdzieś mieć swoje kółko, lecz którego prawdziwość zawsze będzie względna do czasu. Cóż stąd wynika dla autora narazonego na ciosy różnorodnej krytyki? Oto iż przez nią oświeca się on na swoim stanowisku, jest w możności nadania pracom swoim kierunku, wedle rozwikłanych pojęć o prawdzie i zostaje objaśnionym co do wpływu jaki wywarł na ogół. Co do ogółu zaś, ten nabywa jaśniejszego pojęcia o rzeczy, bo wysłuchał lepiej pomysłałych zdań, niżli, ja-

kieby pokątnie, pod wpływem uprzedzenia lub wyłącznego sposobu zapatrywania się na rzecz, powstać mogły.

Ale jeśli to com powiedział, zastosujemy do nas, postrzeżemy ogromną różnicę. Drukowana kartka jest dla nas zawsze czémś w rodzaju albo wiekuiestęj sławy albo dekretu śmierci, nigdy zaś czémby powinna być w rzeczy samej. Tak ją pojmuje większa połowa ogółu. Przy ogólnych poglądach, nie go nie zraza bardziej jak gdy dopatrzy w autorze chęci pokazania jakiejś cząstki ciała społecznego z ujemnej strony, a nie nie zniewala nad pobłażanie lub usprawiedliwienie wad społecznych. Niedawno jeszcze czytaliśmy w jednym piśmie, artykuł wymawiający panu Kraszewskiemu, że ze złej strony skreślił dorobkowicza—i usiłujący przekonać, iż nie wszyscy dorobkowicze są takimi. Bardzo oczewista, iż nie wszyscy, ale czyż p. Kraszewski powiedział, że wszyscy? P. Korzeniowski w jednym ze swych dramatów wystawił z dobrej strony żyda, czyż przeto wszyscy są takimi?

Te myśli nastreczyły się mi, jakem rzekł, zastanawiając się nad rolą korespondenta jakiegokolwiek naszej gazety. Dopóki on pisze wam o niebieskich migdałach, o tém co się robi gdzieś a nie u nas, jeszcze jako tako; ale niechże spróbuje donieść wam o czémkolwiek swoim, co go otacza, na co patrzy, skreślić jakiś obrazek tego kątku gdzie mieszka, zaraz obudza prowincjonalne roje krytyk, które się wozą od sąsiada do sąsiada i robią harmidz ogromny. Wyciągniona na gazeciarską estradę indywidualność, bez względu czyś ją pochwalił lub naganił, czuje się po wydrukowaniu jakby nie w swoim żywiole i wyobraża, iż oczy Europy zwrócone są na nią. Jeśli zaś korespondent skreślił jakiś obrazek społeczeństwa, powiedział co o przemyśle, o oświacie, o usposobieniach, czy dał charakterystykę okolicy, gdzie już pretezyi o zaczepienie jednostki urościć nie można, wnet zjawia się jaki prowincjonalny geniusz z ogólnym poglądem na rzeczy i zrobiwszy miotełkę z czubków miłości własnej, wyjeżdża z nią zmiatać owe pyły, którymi porzeczono lustr narodowy. Ta okoliczność chwytta się tém skwapliwiej, iż razem służyć może za piedestał do wzniesienia się własnego w opinii ziomków, których najłatwiej jest złowić na wędkę z tą zaprawą.

Naturalnie, iż tego wszystkiego uniknąć można, smarując pęzelkiem miłości własnej wszystkie przedmioty obrazu, lecz powiedzcie: gdzie tu natenczas będzie prawda, gdzie interes, kiedy zniżymy się do kłamstwa lub pochlebstwa, kiedy będziemy pisali nie to co nam dyktuje przekonanie? Życzymy więc naszym kolegom ażeby zastanowili się nad swoim położeniem i nie maczając pióra w mętach towarzyskich, strzegąc się przez szacunek dla samych siebie paszkwilów i obmów, uchylając zupełnie z widoku jednostki i wyjątki, dawali nam wiadomości ogólne o wszystkim co ogół czytelników zajmować może, nie hołdując fałszywym uprzedzeniom jakie są jeszcze w massach. Co do nas, oświadczamy iż tym będziemy postępować torem, mając pryncypalnie na względzie wymianę poczciwych i szczerých myśli w granicach przyzwoitości i umiarkowania.

Ale kiedy zesłiśmy na trop gazeciarskiej pogadanki, gawędzmyż. Niedawno jedno z naszych pism, mówiąc o wystawnym życiu Dumas'a, ubolewało nad stanem naszych literatów w porównaniu z tamtymi. Takiego porównania naszej literaturze narzucić nie można. Francuskich pisarzy świat cały czyta w oryginale, naszych—my tylko. Żebyż to jeszcze my wszyscy? ale u nas dotąd czytająca cząstka jest bardzo nieliczną a zostanie jeszcze mniejszą jeśli stracimy z niej tych, którzy czytają pożyczone książki i gazety. Nie rozpaczajmy wszakże. Ruch literacki obudza się u nas i massy biorą w nim udział. Żeby gorliwe usiłowania mogły podwoić liczbę czytających, żeby każde lepsze dzieło po tysiąc przynajmniej miało prenumeratorów, jak dla nas, byłoby dziś dość i na tów. Lecz przekonany także jestem iż żadne namowy nie sprowadzą tego następstwa, a jeśli cokolwiek i zrobią, będzie to miało chwilowy i wyjątkowy charakter. Jeśli poczciwy nasz szlachcic, siedząc gdzieś w zaścianku obywatel się wybornie przez lat czterdzieści bez gazety i książki, cóż go zniewoli dowypisania ich sobie teraz? On nie ma na nie godzin w rozmiarzonym i nawykłym trybie swego życia, ani czuje pragnienia tego moralnego pokarmu; lecz młode pokolenie już pojmuje tę konieczność i jemu to winniśmy ruch dziś ożywiający biura redaktorów i księgarzy. Patrząc na to co się dokonywa z literaturą w krajach nam ościennych, zaprawdę, mimowolnie robimy pytanie: Co naszych pisarzy pobudza do tej mezelnej pracy, jakiej dają dowody? Wszak nie zysk, wszak nie sława? Wycobraźmy np. s. b. ie, iżby taki stan rzeczy narzucić w obecnej chwili Francji. Cóż poczną wtedy ci pisarze, przywilekli brać po sto i dwakoe sto tysięcy za kilka tomów? Zarzuca pióra, to więcej jak pewna. U nas jednakże licha nagroda nie zraza literatów.

(Dokończenie nastąpi.)

BRACIA ŚLUBNI.

POWIEŚĆ W 3ch TOMACH

Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

TOM I.

(Ciąg dalszy) (*)

(Dalszy ciąg nastąpi.)

A sprawczynią tego wypadku była sama panna Barbara. I ona bowiem, lubo rzeczy widziała jaśniej i realniej je brała od swojego kochanka, nie mniej przeto w sędzi i opinii o niektórych z nich się myliła jak on; tego jej jednak zaprzeczycie nie można, iż która rzecz jej się wydawała nie jasną, to do jej wyjaśnienia sobie póty nie szczędziła myślenia a nawet prób i doświadczeń, choćby też czasem intryg i podejścia, póki swego nie dokazała. Duch bowiem w tej paniencie był przedsiębiorczy i czynny i nie lada częciem się zrazić dający. Owóż przy takim usposobieniu, jako dawno już jej to było nieodgadnionem, dla czego pan Józef, rzecz przyprowadzający do tego stopnia, że już nie

Patrz Nr. 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301.

mogło być tajno nikomu, że się w niej kocha i radby ją pojąć za żonę, na tém stanął i dalej nie idzie, tak z czasem, w którym suppozycyja ta o nim coraz więcej się potwierdzała a rzecz przeto zawsze jeszcze ani na krok dalej się nie posuwała, ona ciekawość w niej wzmacniała się coraz bardziej a znużenie się tą jednostajnością także coraz silniej wzrastało. I kiedy ta ciekawość wraz z unudzeniem doszła na koniec do tego stopnia, że już aż wrodzona w niej niecierpliwosć głośno się odzywać zaczęła, nie mogła już dalej panna Barbara dla urojonej jakiejś przyzwoitości przezwycięzać siebie do tyła, ażeby podczas kiedy w jej sercu wrzące się przewracały bałwany, twarz zawsze równą jaśniała spokojnością i usta kłamliwe zachowywały miłoznienie. I kiedy takie jej było usposobienie, trafiło się już nieraz natenczas, że czy to przy rodzicach czy w samotności, pan Józef taką rzecz od niej usłyszał, na którą nie tylko że nigdy nie był przygotowany, ale która go, i tak zawsze wielki respekt mającego dla słów panny Barbary, tak bałamucila, że strawiwszy nieraz całą noc nad jej odgadnięciem, rano wstawał u siebie jeszcze więcej zbałamucony, niżeli był wtenczas, kiedy pod pierwszem takiej zagadki wrażeniem wyjeżdżał z Balogrodzkiego zamku.

Dnia tedy jednego, kiedy pan Stolnikowicz ze zwyczajną był w Balogrodzie wizytą i właśnie się tak wydarzyło, że go sam na sam z jego oblubienicą pozostawiono w środkowej kompanie, kawaler ten, bojąc się prawie wszystkich chwil takich, bo w nich zwyczajnie porzucała mu panna Barbara one trudne do odgadnienia a tak frasowne zagadki, zamiast użyć tej chwili na zwierzenie się z jakim sekretem, których tyle zawsze mieć zwykli dla siebie kochający się młodzi, patrzył tylko przed siebie i milczał. Zniecierpliwiona tém po swjemu panna Barbara, nie posuro przed siebie, ale z jawną w twarzy ironiją a może nawet ze złością patrzyła na pana Józefa; jednakże tą razą postanowiła tylko milczeć i tak wieczność przemilczec z samej niecierpliwości. Ale postanowienia Podkomorzanki nie zawsze się spełniały zupełnie, a przynajmniej nie zawsze w ten sposób, w jaki były powzięte, więc i teraz miasto milczeć i milczeniem do przeznaczonęj dobiegnąć mety, niebawem już zapytała ona pana Józefa:

— Jak długo trwała ta ukraińska wyprawa, na którą Waszmość chodziłeś?

— Blisko półtora roku—odpowiedział z westchnieniem Bobowski.

— A jakże długo się Waszmość na nią wybierał?—zapytała znów Barbarka.—Na to Bobowski namysliwszy się chwilkę:

— O! żeby prawdę powiedzieć, całe wybieranie się na nią nie trwało u mnie ani jednej godziny?

— Wraz z namysłem i przygotowaniem?

— Ze wszystkiem.

— No proszę, proszę!—rzekła z ironiją Podkomorzanka—któżby się tego po Waszmości spodziewał.

— Trzeba bowiem wiedzieć Jmć panie—rzekł na to pan Józef, nie umiejac wcale korzystać z tego zwrotu rozmowy—że to cale nie moja myśl była ta ukraińska wyprawa. Ani się

to w mojej głowie wyległo, ani się znalazła chęć do tego w mém sercu, a jako niedorzeczność téj całej imprezy widna mi jest dzisiaj, tak samo widną była mi i natenczas.

— Tak?!. rzekła panna Barbera zawsze z ironiją, która jednak nie widna była oczom panna Józefa—tak? to nie serce Waszmości pociągnęło na oną piękną i prawdziwie rycerską praktykę? i któż to Waszmości do tego namówił?

— Mój brat to kochany—odpowiedział w szczeroci ducha pan Józef—tak się do onego rycerstwa nagle zapaliwszy, jak gdyby już pod nim gorzało, prawdę mówiac nie namówił mnie do tego ale mnia gwałtem pociągał.

— I Waszmość zaraz poszedłeś?

— Ha! poszedłem,—odpowiedział dobrodusnie pan Józef,—cóż było robić? poszedłem.

— Hm!—rzekła Barbarka,—powiedz że mi Waszmość, gdzieś się taki wychował?

— Tutaj, tu na ziemi Sanockiej,—rzekł z niedowierzaniem w szczeroci tego pytania Bobowski.

— Widać to po Waszmości;—odpowiedziała na to Barbarka i ani patrząc na Bobowskiego, odeszła.

Gdyby był piorun żywy uderzył tuż u nóg pana Józefa, albo gdyby był zamek Balogrodzki nagle strzeszczał i przez połowę się w gruzy rozsypał, tak, żeby on, w zamkniętej siedzący komnacie, nagle się ujrział na ostatnim belku wiązania w czystém powietrzu stojący: nie byłoby go to tak mocno przeraziło, jak go przeraziły ostatnie słowa panny Podkomorzanki. Uczucia, które go wtenczas opanowały, nie dadzą się tak łatwo opisać, bo ich było tak wiele, a taka różność była pomiędzy nimi, że z nich jasną zdać sobie sprawę nawet sam nie umiał Bobowski: jakoż zerwawszy się on z swojego krzesła, stał zamysłony pod oknem, a wpatrzywszy się martwemi oczyma w martwą pod swoje stopy rozścieloną makatę, sam nie wiedział co czynić, gniewać się na siebie, czy płakać, śmiać się, czy wsiąść na koń i na zawsze odjechać z tego fatalnego zamczyska. I był-by może tak stał do północy albo i do świtania, nie postanowić nie mogąc, gdyby nie to, że niebawem wszedł Podkomorzy z Kapelanem i w ciekawą o jurysteryi go uwikłał rozmowę. Gorzej to było dla pana Józefa, bo one wszystkie nieprzyj. mne uczucia jakby głaz ciężki upadły na dno jego miękkiego serca i tam stwardły jak kamień śród téj mądrej rozmowy; ale trudnoż było mu milczeć przy Podkomorzym, albo takie pożagnanie panny Barbary brać ze sobą do domu. Perorował tedy nieborak o voluminach legum i konstytucjach jak mógł w onej chwili, a lubo i tak co moment nowy aplans odbierał od swoich słuchaczów, toż jednak oddał-by on był natenczas i sławę samego Lykurga albo Solona, za kilka słów tylko a nawet za jeden uśmiech panny Barbary. Ale panna Barbara nie przychodziła—i nie przyszła już tego wieczora. I pan Józef odjechał z całym ciężarem onych smutnych uczuć do domu, i ani na Balogrodzkiemu zamku, ani nawet na drodze nie pozostał z nich ani jednego.

A przyjechawszy na dwór Żernicki, zamknął się w nim, jakby w celi klasztornej. Przez dni kilka nawet ani do sieni nie wyjrzał i wydo-

bywając po jednej wszystkie swoje zgryzoty i wszystkie frasunki, warzył się z nimi w swych myślach jakby w ukropie. I różnie mu się majaczyło po głowie i sercu, bo miotła się już dusza jego w nieznanej dotąd niecierpliwości i poczuła już różne nowe do siebie przypuszczenia uczucia, jak nieprzykład, dumę osobistą i rezygnację;—jednakże pomimo dni kilku krwawej pracy i borykania się z sobą, do niczego nie doprowadził i niczego nie postanowił pan Józef, a całym owocem tych pracowitych dni kilku były tylko znaki niebieskie po pod jego oczyma, które pozostawiła bezsenność, bladeść na twarzy, którą pozostawiła zgryzota i jakieś niedogaśne płomienie w oczach, które pozostawiła chętką ratowania się z toni i niecierpliwość.

Przez te dni kilka zamknięcia się pana Bobowskiego w Żernicy, wielkie burze i zawieruchy były na dworze. Zima wysilając się ostatnie, do tego stopnia pozasypywała śniegami drogi, że ani myśleć komu było natenczas o ruszeniu się z domu i bardzo to na rękę było panu Józefowi, bo nietylko że mu nikt nie przeszkodził w koniecznej dla niego natenczas samotności, ale nawet panu Łowczycowi nie potrzebował tłumaczyć się z tego, dla czego go przez dni kilka nie widział. I minęły już wreszcie burza i ponjeżdżano już drogi, ale pan Józef jeszcze jakos nie się wyruszał i lobo się nakoniec codziennie już wybierał do Żerniczki, przecie doczekał się tego, że nie on tam, ale pan Stanisław do niego przyjechał.

Przyjechałszy, aż się przeląkł pan Łowczyk, kiedy tyle bladeści i smutku w twarzy swojego brata obaczył. Jednakże nie nie mówił, bo nie wiedząc z pewnością co temu być może za przyczyną, a nawet czyli to są rzeczywiście smutki i zgryzoty, nie chciał się z lada czem przed nim wyrwać. Ale go serce zabolalo szczerze i litość go wzięła serdeczna, więc postanowił bliżej przypatrzeć się panu bratu i nie odjechać pierwój, nimby mu, gdyby tego potrzeba była, nie przyniósł ulgi lub pomocy.

Po przywitaniu tedy i wypytaniu o rzeczy codzienne i dnia ostatnie, usiadł pan Łowczyk w porę zowem krzesle i lulkę ulubioną zatłoczywszy, przypatrywał się milcząc dziedzicowi Żernicy. Pan Józef chodził po izbie od kąta do kąta; chciał on wprawdzie coś mówić, aby swój smutek utaić i zaczynał już to i owo, ale kiedy mu się słowa w żaden sens wiązać nie chciały, dał pokój temu i chodząc, milczał.

To uważając i dobrą chwilę wyczekawszy pan Łowczyk, nie mógł już dłużej wytrzymać i rzekł nareszcie:

— Panie bracie! coś nie w swoim sosie dziś jesteś, czy co nie dolega?

— Ej! nie,—odpowiedział Bobowski,—ot tak jakos mi nie wesoło.

I znów chwilę trwało milczenie, po którym zasie pan Łowczyk:

— Widzi mi się, że nie musi to być bez przyczyny i że nie od dzisiaj musi być ta niewesołość, bo dawniejsze jej ślady na twojej twarzy.

— Znać co na mojej twarzy?—zapytał pan Józef i pojrzawszy w zwierciadło, dodał przedko:—Zapewne, przybladłem trochę, ale to tak, sam nie wiem z czego.

— To może prędzej ja-bym mógł wiedzieć,—rzekł tajemniczo pan Łowczyk.

— A cóż-bys ty mógł wiedzieć?—spytał pan Józef.

— No, wszystko, nie wszystko,—mówił pan Stanisław,—ale przecie coś mógłbym wiedzieć. Coś obacza oczy moje, chociaż wzrok w nich przytępy, czegoś domyśli się rozum chociaż także nie osobliwy, a coś nakoniec podsłuchają i uszy, bo przecie tak nie milczą po sąsiedztwach, jako ty rad-bys milczyć przedemną.

Na te słowa Stolnikowicz stanął jak wryty i z wielką ciekawością spojrzął na swego brata, który spokojnie lulkę palił i patrząc w ziemię, minę czynił ciekawą, ciekawszą nawet, niżeli sam gospodarz, który nareszcie zapytał:

— O mnie co po sąsiedztwach? a cóż o mnie tam mówić mogą?

— Ludzie już nic, bo się już wygadali—odpowiedział po swojemu pan Łowczyk—ale zasie teraz wróble śpiewają na dachach. I to mnie jst bardzo przykre, że już i ludzie się wygadali, już i wróble się wyśpiewają nareszcie, a ja zawsze jeszcze nic nie wiem.

— Panie bracie—rzekł na to teraz otwarcie Bobowski—trudno mi się z tém tać przed tobą, że i pierwójby było a może i teraz jest jeszcze się z czem zwierzyć przed tobą i Bóg mi jest świadkiem, ile razy wysłałem o tém i jak gorąco pragnąłem tego, żeby się choć wygadać z onych ciężkich frasunków, które mnie porą tak boleśnie, że mnie dalej i na śmierć zaparą; ale zważ sam, czy ja to mogłem uczynić, kiedy to wszystko winie się około takiej materji, której ty jesteś głównym nieprzyjacielem?—Na to pan Łowczyk:

— Hm!—rzecze zwolna—nie ma co mówić, że się jest statecznym antagonistą tego, co jest głupim w sobie i niedorzeczne, jakoż pewna, że wiele i bardzo wiele potrzebaby na to, aby mnie ku temu zawiolić, żebym młodemu pochwalił ożenienia się *desiderium*, ale znowu może nie tak bardzo wiele, żeby się tego przyzbierać nie mogło dosyć, zwłaszcza też u takiego, który jako widzę, koniecznie już na to naważył, aby go baba za łeb wzięła i zrobiła z niego indywiduum bardzo pożyteczne, bo propagatora rodzaju ludzkiego, ale też i nie więcej. *Volenti non fit injuria*, ale *injuria fit* światu i przyjaciółom, kiedy się z meów, mogących być chlubą i splendorem Rzeczypospolitej...

— Owo widzisz zaraz—przerwał w tém miejscu Bobowski—potwierdzenie tego, com dopiero powiedział. I na co ja się mam zwierzać przed tobą?

— No, no—rzekł z uśmiechem pan Łowczyk—nie to nie wadzi przypomnieć to i owo panu Józefowi, co powinien mieć głęboko wryte w swem sercu.

— Nie wadzi, ale się na nic nie przyda. To co mi powiesz w tej materji, ja już oddawna umiem prawie na pamięć i gdyby to było podobna, żeby mnie twoje argumenta mogły przeciągnąć na twoją stronę, jużbym był ci dawno proponował, ażebyśmy oprócz ślubu uczynionego na wieczną przyjaźń uczynili jeszcze i ślub na wieczne beżeństwo.

— No no, nie gawiej—ze się, proszę ciebie—rzekł od serca pan Łowczyk—wiesz, że co

kto lubi, témby się rad pieścił co chwila, ale nie idzie za tém, ażeby się nie miało i co drugiego polubić, a osobliwie też co takiego, co godne kochania. Szczęście twoje, kochany panie Józefie, i ukontentowanie, bądź pewnym że mnie tak cieszyć będzie, jak moje własne a może i lepiej jeszcze, bez wielkiego nawet skrupu w tém, jaka to rzecz będzie, która ciebi ukontentuje, byleby była uczciwa; a teraz nawet, jeżeli mam prawdę powiedzieć, w dwójnasób-by mnie cieszyło każde twoje ukontentowanie, bo jako widzę, jużes się tak sfrasował, że wyglądasz jak śmierć.

— Otóż teraz, to mądrze powiadasz!—zawałał uradowany Bobowski—niech-że cię za to uściskam i pocałuję.—A obcałowawszy go jak należy i troszeczkę się rozplakawszy przy tym wylewie serca, dodał chustką twarz ocierając i oczy:

— Zawszem ja sobie tak myślał, że się to inaczej nie skończy, jeno że połowę tych smutków moich koniecznie na siebie wzięść musi Stasio mój kochany.

— A gdyby nawet i wszystkie—odpowiedział na to z serdeczonym już płaczem olbrzymi Stanisław—ładuj na niego, co możesz, barki u niego szerokie to dużo poniesie, a im więcej poniesie, tém, jak ciebie kocham Jazieńku... tém będzie szczęśliwszy.

— Bój cię Pan Bóg nigdy za to nie wypuścił z swojej opieki—mówił dalej na dobre już płacząc Bobowski—teraz dopiero widzę, co to jest przyjaciel.

— A jam to widział—odpowiedział przerywanym oł łez głosem pan Łowczyk—kiedym w bisurmańskięj stękając niewoli, ciebie nagle obaczył, Józieńku.

I tak płacząc a przypominając sobie wzajemnie dla siebie poniesione ofiary i poświęcenia, za chwil kilka już przywrócili pomiędzy sobą oną dawną serdeczność i otwartość braterską, która zawsze trwała pomiędzy nimi aż do tego momentu, w którym się gdzieś nie rozjechał Bobowski.

W półgodziny też potem już w najlepszym humorze i sercem najłżejszem opowiadał pan Józef swojemu bratu cały proceder swojej terazniejszej miłości, przyczem nietylko nie zapominał o najdrobniejszych w tej całej sprawie zachodzących wypadkach i scenach, ale nawet starał się swoją miłość w takich odmalować kolorach, które może nawet nie były jej rzeczywistym przymiotem, lecz nie o niej przeto miały to przeznaczenie, ażeby miękko a przeciw małżeństwu oburzające się serce pana Łowczyca rozczulić i dla siebie pozyskać. Osuchowski słuchał tego opowiadania z zajęciem, czasami je przerywał, ażeby się o niektóre szczegóły bliżej rozpytać, lecz częściej jeszcze wdychał tylko i milczał, tak jak gdyby i on kiedy w podobnym był położeniu i przypominając sobie dzisiaj swoje dawniejsze uczucia, Bobowskiego cierpienia i frasunki pojmował jasno i uczuwał w dwójnasób. Kiedy zaś skończył pan Józef, rzekł on mu na to:

— Panie bracie! widzi mi się jakaś wielka tu być wiktanina. Bo nie dosyć na tém, że znać z trudna-by na tę kompulację mieli przyzwolnić starzy, ale nawet i o sentymencie panny dla siebie nie masz żadnej pewności. A pan-

nisko to jakieś przemądre i sprytne, w gębie u niej jak u drugiego oratora na sejmie, a oczy jakieś takie czarne i przenikliwe, że bodaj czy nie diabeł sam mieszka w tém subjektum. Ja tam zresztą o tém sędzić nie chcę, bo to nie moje rzemiosło, ale to wiem pewno, że kiedy Bóg da, to z przyczyny dobrej i uczciwej kobiety człek się naciępi nieraz powyżej uszu, a cóż dopiero potrafi taka, która jeździ na koniu jak hussarz i strzela lepiej jak łucznik z professyi. Panie bracie, jabym się bał takiej dziewczki.

— A ja się nie boję, — odpowiedział na to Bobowski, — bo wiem dobrze, że to jeno zdalka tak się wszystko wydaje, a zbliska każda z nich jest i być musi kobietą. Stroi miny i wydwarza sobie dopóty, dopóki jest panną i wie o tém dobrze, że czy dla niej, czy dla jej rodziów, czy przez afekt, czyli przez delikatność, każdy skakać musi przed nią jak jemu zagra; ale niech no weźmie obowiązki na siebie i dostanie swojego pana, któremu posłuszeństwo przed Panem Bogiem przysięże, to wraz będzie i strój inny i mina. — Na to pan Łowczyk:

— Nie rozumiem ja temu tak doskonale, a żebym zaraz nieomylnie mógł wyrokować, a lubo już widziałem w mojem życiu i takie, które przed ślubem były potulne jak trusie, a w rok potem lub we dwa w kąt by iść mogły przed niemi lwice i hyeny, toż jednak nie konieczne obstarę przy swoim i przyznaję, że w tych rzeczach i tak być może i owak. To tylko jedno sobie muszę wyprosić, com już przedtém powiadał, a to jest, że ani się nigdy nikt spodziewać nie może, jako go nieszczęście spotka z przyczyny kobiety; mam ja tego doświadczenie na sobie i od tego czasu, jak mnie to napotkało, dziesiątemu odradzać będę, aby się nie przybliżał nawet do tych stworzeń, to tém to owém nęcących, bo czasem za jedno spojrzenie płaci się takim frasuńkiem, na który wiele-by potrzeba gdzieindziej.

— Mój Stasiu, — rzekł na to pan Stolnikowicz, — jużes mi kilka razy wspominał o tém, żeś niemało przecierpiał z przyczyny kobiet, a jeszcze ani razu nie przyszło do tego, żebyś mi to opowiedział. Dziwiło mnie to już pierwej, dziwi teraz tém bardziej, bo nie widząc ciebie prawie nigdy nawet rozmawiającego z kobietami, nie rozumiem, jakieś mógł przyjść do jakiego z ich przyczyny nieszczęścia.

— Otóż to jest! — rzekł na to pan Łowczyk, — jednakże to muszę powiedzieć, że nie zawsze tak u mnie bywało, jako jest teraz. I jam, kiedym był młodszy, serce miał tkliwsze na takie rzeczy, i jam chwalił piękność w kobietach, a lubom za niemi karku zaraz nie kręcił i Panu Bogu niech będzie chwała, nigdym się żadnego bałamuctwa nie dopuścił, toż jednak wiele serca miałem dla tego kornetowego rodzaju. Przyznać się nawet muszę, że widząc tędy owędy, jako te niezaradne stworzenia za mąż wyszedłszy, nieraz są po barbarzyńsku traktowane od grubych swych mężów, jako muszą znosić ich sprośności, pijaństwa, hańburdy i Pan Bóg nie wie co jeszcze i nawet słowa im za to powiedzieć nie wolno, bo zaraz krzyk za to, przekleństwa, a na czas i co gorszego jeszcze; widząc to mówię, nieraz mnie

środe serce nad niemi bolało, a na onych mężów taka mnie złość porywała, że byłbym im z wielką satysfakcją dawał po sto batogów. Otóż do czego mnie doprowadziła ona litość moja. Onego czasu byłem ja na dworze JW. Hetmana. Zrazu byłem używany do posług zwyczajnych, albo raczej do żadnych i mieściłem się między innemi dworzany. Ale kiedy wkrótce pan Hetman obaczył, że nie lada kto mi dorówna na rękę, nie lada kto przeniesie na koniu i że wielki rygor jest około mnie i wszystkich rzeczy moich, dał mi do swojej lejbgardy na oficera. Więc lejbgardy tej wszystkiej, konnej i suto po hussarsku ubranej, było sto szabel i dowodził nią Imć Pan Chilchen, z Niemca Polak prawdziwy i indygena; ale że już nieborak był człek leciwy i często na zdrowiu zapadał, więc mnie pan Hetman zaraz na samym wstępie powiedział: »Strzeż się mospańie Gozdawito, a pilnuj się w służbie, bo kapitaństwo jeno na włosku już wisi nad tobą.« A chociaż to kapitaństwo było w służbie pańskiej a nie koronnej, jednak to zawsze rzecz piękna i widok z niej niepośledni. Płocowałem się tedy jak mogłem i pan Hetman był kontent ze mnie i kiedym przed nim kompaniję moją szykował, powiadał nieraz do swoich gości, co mnie potem drudzy komunikowali dworzanie: »Bodaj to mieć Gozdawitów na służbie, rodzą się już w szyszaku i przy szabli.« I snąc już gdzieś niedaleko było to kapitaństwo, bo nietylko, że mnie już ci i owi ten tytuł dawali, ale nawet i pan Chilchen już tak począł ze się opadać, że go na konia aż wysadzać musiano. Onego też czasu zwołał Król sejm do Warszawy. Trzeba było i panu Hetmanowi tam jechać, a jechało się z wielkim dworem i służbą taką, że w Białymstoku jedno gołąbkowaci starszowie pozostawali. Więc i pan Chilchen pozostał, a tymczasowo mnie pan Hetman porucił komendę. Przyjechałszy do Warszawy, stanął pan Hetman w swoim pałacu na Podwalu; służba co przedniejsza około niego, my zaś to w oficynach, to w kamienicach obok pałacu stojących a umyślnie na to ponajmowanych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rada Szezegółowa Opiekuncka Szpitala Dzieciątka Jezus.

Ogłasza niniejszém, że na dostawę artykułów żywności dla Szpitala Dzieciątka Jezus w ciągu pierwszego półrocza 1854 r. potrzebnych, a mianowicie:

Grochu korecy 65, czyli czwarti 39, cztetw. 5.
Mąki psiennej i żytniej korecy 755, czyli cztetw. 460, cztetw. 3.

Krupy korecy 564, czyli cztetw. 345, cztetw. 5.
Okrasy funtów 11,890, czyli putów 295, funtów 13.

Żyta korecy 270, czyli cztetw. 164, garcy 5.
Piwa beczek 540.

Odbędzie się licytacja w dniu 9 (21) listopada 1853 r. przed Radą Szezegółową Szpitala Dzieciątka Jezus o godzinie 5 z południa, a to przez deklaracje opieczetowane, a putem głośną. Vadum którego wysokość do każdego oddziału żywności w warunkach licytacyjnych jest oznaczona na ręce Intendenta Szpitala w gotowiźnie lub papierach publicznych złożone być winno

do godziny 5 wieczorem, w dniu na licytacyą oznaczonym. — Bliższe warunki dostawy przejrzeć można każdodziennie w kancelaryi Szpitala.

Warszawa d. 26 paździer. (7 listopada) 1853 r.
Opiekun Prezydujący
Rzeczywisty Radca Stanu, *Niepokojezycki.*

Piękna posiadłość miejska, Pałacyk z Ogrodem, BAGATELĄ zwana, w Warszawie, w końcu Alei położona, Nr. 1.761 a, rozległości łokci □ 48,896 wynosząca, obejmująca Stajni, Wozownię, mieszkanie dla Stangreta, Oficynę kuchenną, Lodownię, i inne dogodności, z powodu działów familijnych, WYSTAWIONA JEST NA SPRZEDAŻ PUBLICZNĄ. Termin ostatecznego przysądzenia, odbędzie się d. 6/18 listopada r. b. o godzinie 4 po południu, w miejscu posiedzeń Tryb. Cyw. w Warszawie przed W. Sędzią delegowanym Misklem. Vadum wynosi rs. 2,250. Licytacja zacznie się od summy zł. 100,279 gr. 26 v. rs. 15,041 k. 98. Bliższe warunki przejrzeć można u W. Pisarza Tryb. Janickiego i w Kancel. Mecenasa Majewskiego w Warszawie, przy ulicy Elektralnej Nr. 797.

Dobra dziesiątka 1,059 czyli włók dużych 68, morgów 26, przętów 96 rozległe, z inwentarzami, są do sprzedania z wulnej ręki. — Dobra te odległe są od miasta Płońska wiorst 10, od Wyszogrodu wiorst 18, od Iłocka wiorst 28 — budynki w najlepszym stanie. — Mapę, rejestr pomiarowy i warunki sprzedaży przejrzeć można u Wrotnowskiego Patrona Trybunału w Warszawie, w domu Lipka przy ulicy Miodowej zamieszkałego.

Rs. 10 nagrody. W nocy z dnia 13 b. m. jadąc z ulicy Leszno przez Tomackie ulicą Bielańską, Długa, plac Krański, Nowowiniarską na Bonifaterską, zgubioną została branzoletka złota, szeroka, w okrągłe klamerki w środku grawirowana; łaskawy znalazca raczy oddać za powyższą nagrodą, pod Nr. 2168 na rogu Bonifaterskiej i Konwiktorskiej ulicy, gdzie stróż miejscowy Paweł wskaże właścicielkę.

Z powodu zmiany systematu gospodarstwa w dobrach Długie Kamięńskie w Powiecie Siedleckim Guberni Lubelskiej położonych, — sprzedane będą przez licytacyę w dniach 16 (28), 17 (29) i 18 (30) Listopada r. b. odbyć się mająca, kilkadziesiąt sztuk koni zaprzężnych i stadnin. — Konie te w większej części są rodu poprawnego i jako takie po dwakroć otrzymały nagrodę na Wystawie Zwierząt w Warszawie.

W drodze do Warszawy o 1 1/2 wiorsty za Jabloną w nocy zginął przed kilku dniami z wiejskiej fary łłomok w którym była poduszka, kołdra, Dzieła Harpńskiego — Konversations Lexikon w kilkunastu tomach, Dykeyonarz Akademicki Francuski i innych kilkanaście książek. — Upraszają się znalazcę lub wiadomość posiadającego zby o tem donieść raczył pod Nr. 1772 przy ulicy Sto-Jerskiej do kwatery Kapitana Krukowskiego, za co otrzyma stosowną nagrodę.

Zwiadamiam, iż rozpocząłem udzielać LERCYE TAŃCÓW, tak w mieszkaniu własnem pod nr. 69 przy ulicy Rynek Starego Miasta, pierwszy dom od Jeziuckiej na 2em piętrze od frontu, jako też po pensjach i domach prywatnych.
Leopold Majewski.

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 91.

Telegrafy Elektryczno-Magnetyczne P. E. Aumann przy ulicy Długiej pod Nr. 586, są jeszcze do widzenia do 30go b. m. od godziny 11ej z rana do 6ej po południu, po cenie wnijsia od osoby kopiejek 15 i 2 1/2 na ubogich.

Woda Kolońska z Ostrowia znajduje się do sprzedania w składzie J. Unruh, ulica Senatorska Nr 460.